Cena pojedyn. numeru 30 groszy.

Należność pocztowa uiszczona ryczałtem

Nr. 12 Warszawa, dn. kwietnia 1929 r. Rok I

PLACÓWKA

POLITYCZNA — SPOŁECZNA — GOSPODARCZA — KULTURALNA

PISMO TYGODNIOWE DLA WSZYSTKICH

NA PORZĄDKU DZIENNYM

Kryzys gospodarczy

Pewien odłam prasy, spełniający zawodowo obowiązek wychwalania panującego systemu — usiłuje wprawdzie ciągle jeszcze szerzyć legendę o panującej w Polsce powszechnej „radości życia", ale nawet w jej własnych szeregach wzrasta coraz większa świadomość, że zaliczyć to należy do owej „rzeczywistości urojonej", o której tak dosadnie mówił w swoim czasie p. premjer Bartel, a natomiast „rzeczywistość rzeczywista" jest całkiem inna.

W istocie rzeczy stoimy u wrót ostrego kryzysu gospodarczego. Odczuwają go najlepiej t. zw. sfery gospodarcze, a wraz z paraliżowaniem tętna ich interesów — odczuwa to na sobie całe społeczeństwo. I niema w tej chwili klasy społecznej, któraby nie miała świadomości trudnych warunków życia, któraby nie twierdziła, że dalsze życie w tych warunkach jest niemożliwe. I na nic się zdadzą optymistyczne oświetlenia, jakiemi naszą szarą rzeczywistość usiłują zaróżowić urzędowe enuncjacje.

Trudno oczywiście za taki stan rzeczy winić wyłącznie rząd i sfery za politykę państwa odpowiedzialne. Byłoby to zbytniem upraszczaniem sobie zagadnienia, niedopuszczalnem w tak poważnej materji. Ale nie wolno zapominać, że kiedy powstałe po zniszczeniach wojennych i z trudem organizujące się państwo polskie miało istotnie w pierwszym okresie z naturalnych przeważnie trudności wynikające „siedem lat chudych" — to uproszczona wysoce demagogja agitacyjna widziała w tem tylko rezultat złych rządów sejmowego partyjnictwa. A gdy potem przyszły trzy lata dobrej konjunktury usiłowano wmówić w społeczeństwo, że jest to wynikiem genjalności „radosnych twórców" i wszechmądrości wielkorządców...

W tem upojeniu zmarnowano dorobek dobrej konjunktury. Zmarnowano ponad to jeszcze coś więcej, bo kapitał zaufania społeczeństwa we własne siły. Gros energji poszło na spory i walki nie wywołane ani realnemi potrzebami naszego życia bieżącego, ani istotnemi warunkami jego rozwoju w przyszłości. Narzucono społeczeństwu konflikty polityczne i kryzysy konstytucyjne, gdy nasza rzeczywistość wymagała czego innego: pozytywnej pracy nad umocnieniem naszej niezależności politycznej i gospodarczej.

Praca taka dokonaną być może tylko w atmosferze konsolidacji i lojalnej współpracy wszystkich, gdy niema zwycięzców i zwyciężonych, ale są tylko obywatele jednym duchem owiani, choć różniący się często w metodach i środkach działania. W takiej atmosferze łatwiej przyjdzie znieść nawet ciężkie przesilenia gospodarcze, łatwiej społem znaleźć środki wyjścia.

Ale o taką właśnie atmosferę w Polsce dzisiaj wyjątkowo trudno.

WIELKI CZŁOWIEK

Marszałek Foch był wielki wielkością, która sama za siebie przemawia.

Gdy ważyły się losy świata, imię jego było na ustach wszystkich, choć nie wypisywano go na murach kamienic, nie trąbiono o nim na wiecach publicznych nie organizowano specjalnych kadrów przysięgłych jego chwalców i nie tworzono bałwochwalczego kultu jego osoby.

Skromność tego wielkiego człowieka była wprost nadzwyczajna. Zbyt duże wymagania sobie stawiał, aby być z siebie zadowolonym. Niezwykle surowy dla siebie, ocenę swych wartości pozostawiał innym. I ta skromność właśnie była najlepszym sprawdzianem jego wielkości.

Słowo „ja" nie wychodziło nigdy z ust Focha, nikomu też nie narzucał się ze swą osobą. Sam zawsze usuwał się na dalszy plan, ale inni dobrowolnie dawali mu pierwsze miejsce, składając hołd jego genjuszowi. Był tym jedynym wodzem, pod którego rozkazy godzili się iść Anglicy, tak przesadnie czuli na punkcie swej niezależności. Ale po osiągnięciu zwycięstwa nie mogło być najmniejszego sporu o to, czyj plan ostatecznie zwyciężył.

Foch nigdy nie twierdził, że to on zwyciężył. Zwycięscą, według niego, był naród francuski, który miał do końca niezłomną wolę osiągnięcia zwycięstwa i dlatego tylko zwyciężył. Foch wierzył głęboko w swój naród i na siłach moralnych tego narodu opierał wszystkie swe rachuby. To też nie pozwolił sobie na nic, coby mogło w czemkolwiek siłę tę osłabić. Poniżanie swego narodu wydawałoby mu się bluźnierstwem.

Wiara ta we Francję dawała mu niezwykłą moc i hart ducha. Dzięki tej wierze nie tracił nigdy głowy w najkrytycznejszych momentach, lecz zawsze panował nad sytuacją. Jak prawdziwy żołnierz, uważałby za dezercję z placu boju oddawanie się rozpaczy i usuwanie od odpowiedzialności wtedy, kiedy najwięcej był potrzebny.

Miał siebie za sługę narodu i wykonawcę jego woli. Nie dopuszczał jednak myśli, by swoją wolę narodowi narzucać. Bolał głęboko nad warunkami pokoju, które według niego nie zabezpieczały Francji przed najazdem niemieckim i nie dawały rękojmi trwałego pokoju. Gdy mu wszakże doradzano zamach stanu, odpowiadał, że za żadną cenę nie przyłożyłby ręki do wojny domowej.

„Jeżeli—pisze J. Bardoux, wybitny publicysta, a w czasie wojny oficer z otoczenia Focha — z ironją, a bez ogródek, oceniał politykę bieżącą, to jednak za nic na świecie nie byłby się zgodził na to, aby się pomniejszyć jakąś ambicją, jakiemś szukaniem powodzenia, aby spaść na poziom jakiegoś jenerała z wieców publicznych. Żołnierz — tak. Kondotjer — nigdy".

Będąc żołnierzem z krwi i kości, wychowany w dyscyplinie wojskowej, umiał rozkazywać, ale umiał i słuchać. Słuchał rozkazów prawa, słuchał legalnego rządu, wyłonionego przez naród, szanował ustrój konstytucyjny, panujący w jego kraju. Choć wiedział, że armja pójdzie za nim, odpychał od siebie wszelką myśl użycia jej dla innych celów, niż przeciwko wrogowi zewnętrznemu. Rozumiał bowiem, że postępując inaczej, burzyłby swe własne dzieło, wprowadzałby do armji niezdrowy rozstrój.

Daleki od tego, aby czynić koło swej osoby zamęt polityczny, podporządkowywał się zawsze władzy cywilnej w tych dziedzinach, które uważał za należące do niej. Nie pozwalał również armji na wykroczenie poza ramy roli, do której jest przeznaczona, uważając, że to będzie ze szkodą zarówno dla społeczeństwa, jak i dla niej samej. Nie uważał też, że wojskowi posiadają odpowiednie kwalifikacje do zajęcia wszystkich stanowisk w państwie.

Poczucie ładu i porządku było naturą Focha. „Porządek instynktowy — pisze tenże Bardoux — miał Foch w stosunku do wszystkich rzeczy, drobnych lub wielkich, na lekcji w szkole, czy też podczas bitwy. Zamęt sprawiał mu cierpienia". Był zasadniczym wrogiem wszelkiego chaosu i rozproszenia, wszystko porządkował w ścisły systemat logiczny.

Porządek zaczynał od siebie — od zupełnego opanowania siebie samego i podporządkowania żelaznej sile woli. Zdawał sobie dokładnie sprawę z tego, że kto chce panować nad innymi musi przedewszystkiem całkowicie opanować siebie.

To też w jego życiu nie było żadnych nieobliczalnych wyskoków, przykrych niespodzianek, żadnych załamań lub chorobliwych fantazji. Ten posąg, ulany ze spiżu, był wykwitem starej kultury Zachodu w przeciwieństwie do rozlewnego wschodniego „samodurstwa", nie uznającego jakichkolwiek prawideł lub form.

Ze stalową wolą łączył Foch wysoką inteligencję, opartą na gruntownych i systematycznych studjach. Rozumiał, że wódz, chcąc być mózgiem, musi przedewszystkiem nauczyć się myśleć, musi posiadać żelazną logikę. Nie znosił też dyletantyzmu, nieprzemyślanych porywów i bezplanowego działania.

Te swoje wybitne cechy starał się Foch tchnąć i w innych. Można powiedzieć, że był wychowawcą swego narodu. Nie tylko służył żywym przykładem, ale umiał wpajać w innych swe zasady. Znał się na ludziach i umiał grupować koło siebie tęgie charaktery. Cenił bardzo ludzi zdolnych i wybitnych, wysuwał ich naprzód i chciał wyrobić z nich godnych następców po sobie. W tem widział swe zadanie i swą ambicję, tem różnił się od ludzi drobnego pokroju i nizkiego charakteru, którzy zawistnie drżą, by ktokolwiek nie przerósł ich przypadkiem o głowę.

Foch wychowywał ludzi, ale nie deptał ich indywidualności. Nie czynił z nich ślepych wykonawców, posłusznych na każde jego skinienie, lecz dążył do rozwoju wrodzonych talentów każdego. Nigdy nie narzucał nikomu autorytatywnie swego zdania, lecz każdego starał się przekonać. W ten sposób uzyskiwał posłuch moralny.

Ten człowiek wielki, i jako wódz i jako obywatel, nigdy nie mówił o swych zasługach. Wyręczyła go pod tym względem historja. W tem był również wielki w odróżnieniu od rozmaitych pseudo wielkości, które opętane manją grandiosa, wygłaszają same sobie śmieszne panegiryki, nie mogą o niczem innem mówić, jak tylko o sobie.

Ponad tych karłów, ponad te nadęte próżnością purchawki, jak olbrzym wznosi się wielki Francuz, jednocześnie przyjaciel naszego narodu.

ALBO—ALBO.

I.

Każdy ustrój społeczno - polityczny opierać się musi z konieczności na pewnych ugrupowaniach ludzkich. Oparcie to polega: albo na czynnem popieraniu danego ustroju przez nie, albo też na biernem poddawaniu się ludności władzy, będącej jego wyrazem.

Wielkie monarchie despotyczne opierały zazwyczaj swe istnienie **na bierności** różnolitej ludności zamieszkującej ich terytorja, oraz na **poparciu** małej grupy **zainteresowanych**, a więc wszelkiego rodzaju dygnitarzy wojskowych, kościelnych i cywilnych.

Niepodobna tu rozważać warunków istnienia rozmaitych typów ustrojowych. Dość będzie zaznaczyć, że wraz z **dojrzewaniem** poszczególnych warstw społecznych pod względem **politycznym**, świadome popieranie przez te albo inne z pośród nich danego ustroju, staje się coraz bardziej **konieczne**, chociażby dlatego, że wobec krzyżujących się interesów i dążeń różnych warstw społecznych każdy ustrój musi mieć **przeciwników** bardziej albo mniej czynnych i dlatego potrzebuje też aktywnych **zwolenników**.

Ustroje społeczne zmieniają się w przeciwstawieniu do politycznych zazwyczaj wolno.. Na tle jednego i tego samego ustroju społecznego istnieje nieraz i istnieć może kilka ustrojów politycznych, oczywiście nie w jednym czasie i nie w jednem miejscu.

Kiedy ustrój polityczny szybko się zmienia w sposób gwałtowny, wówczas szukać musi naprędce gorących zwolenników, aby **oprzeć się na nich i utrwalić swój byt**. Ludzie stojący na jego czele, osiągają to zwykle za pomocą różnych **obietnic**, robionych bez głębszego rozmysłu rozmaitym kołom społecznym. Dlatego każdy nowy, powstały w sposób powyższy system polityczny od samego początku swego istnienia **posiada zarodki upadku**.

Prawda, że dyktatury posiadają i podkład głębszy wówczas, kiedy walki społeczno - polityczne pomiędzy stronnictwami dochodzą do najwyższego napięcia i kiedy żadna próba czasowego nawet kompromisu — nieudaje się. I wówczas jednak dyktatura aby być trwałą musi **stworzyć coś pozytywnego**, dać społeczeństwu coś **realnego**.

II.

Przechodząc od tych rozważań ogólnych do naszych stosunków obecnych musimy zauważyć dla należytego zorjentowania się w sytuacji obecnej, że: 1) zamach majowy w 1926 r. nastąpił bez wyczerpania wszystkich możliwych form kompromisu politycznego; 2) nie odbył się pod sztandarem jakiejś konkretnej reformy; 3) wysunął natomiast osobistość bardzo popularną w pewnych kołach społecznych i 4) szereg ludzi związanych z tą osobą.

Akcja majowa znalazła poparcie: w lewicy, która po szybkich i powiedzmy otwarcie przypadkowych zwycięstwach, zaczęła marzyć **o dyktaturze dla siebie** pod firmą Piłsudskiego; oraz w różnorodnych kołach względnie umiarkowanych, a nawet konserwatywnych, które nienawidząc narodowej demokracji gotowe były **każdemu się oddać**.

Konserwatyści, z pośród ziemian zwłaszcza, nienawidzili jej za to, że przyłożyła rękę do reformy rolnej. Inni umiarkowani i liberalni widzieli w niej niebezpiecznego dla siebie konkurenta i przeciwnika politycznego.

Dzięki temu, ci co zamachu dokonali początkowo znaleźli silny punkt oparcia w rozmaitych kołach społecznych.

Mniejszości narodowe sympatyzowały z zamachem, sądząc, że jednym z jego skutków będzie **zmiana zasadnicza** stosunku rządu do nich.

Były jeszcze okoliczności **zewnętrzne** sprzyjające nowemu rządowi. A więc przedewszystkiem strajk górniczy w Anglji, który umożliwił Polsce bardzo znaczny wywóz węgla. Zagranicą wiązano zamach z ustaleniem się stosunków politycznych w Polsce, z zaprowadzeniem większego ni dotychczas ładu wewnętrznego. Słowem, pozornie zdawało się, że „nowy porządek rzeczy" w Polsce znalazł silny grunt pod nogami, że ludzie stojący na czele państwa rozpoczną politykę konsekwentną o jasno wytkniętych celach. Wiele osób rozumowało w ten sposób, że wprawdzie zamachy nie są drogą normalną rozwoju państwa i wogóle nie są pożądane; że jednak zamach majowy, o ile poprawi wydatnie istniejące stosunki, przysłuży się państwu.

Oczywiście, ludzie głębiej patrzący na rzeczy, obeznani z historją i posiadający doświadczenie życiowe — **złudzeń tych nie podzielali**. Niedługo trzeba było czekać, aby okazało się, że **nowy rząd nie ma żadnego programu pozytywnego**.

III.

Po latach doświadczeń z „nowym ustrojem politycznym" widzimy **rozczarowanie we wszystkich kierunkach**. Pozostawiam tu na stronie stronnictwa przeciwko którym zamach majowy 1926 roku był skierowany.

PPS, która bardzo wydatnie przyczyniła się do jego zwycięstwa, przeszła od nieśmiałej, pełnej wyrozumiałości opozycji, do ostrego zwalczania rządu. To samo dotyczy „Wyzwolenia" i „Stronnictwa Chłopskiego". A bądź co bądź są to stronnictwa reprezentujące **masy robotnicze i chłopskie**.

Strat tych powetować nie może BBS., grupa mająca właściwie zwolenników tylko w samej Warszawie, grupa, która na terenie robotniczym już przegrała

Konserwatyści są skonsternowani, zawiedzeni, rozczarowani i przestraszeni, gdyż boją się ekonomicznego programu części rządu, wyrażając się ściśle reprezentowanej przez min. Moraczewskiego i innych dygnitarzy jak p. Starzyński i tow. z t. zw. frontu gospodarczego. Nie wchodzę tu w meritum sprawy t. zn. etatyzmu, któremu należy poświęcić artykuł specjalny. Stwierdzam tylko fakt.

Niektórzy z konserwatystów noszą się z myślą ustąpienia z areny politycznej. Wprawdzie p. Mackiewicz jest dobrej myśli, a i „Czas" krakowski, ta stara nierządnica polityczna konserwatywno - liberalno - Bonapartystowsko - faszystowsko - jezuicko - masońska — pociesza się, że rząd nie ustąpi, ale poza temi buńczucznemi frazesami wyczuwać się daje niepokój.

Lewjatan milczy, ale zaciska zęby i jest także zaniepokojony.

Pomiędzy grupą „pułkowników", a grupą Kościałkowskiego (Zjednoczenie Pracy Wsi i Miast) **wre cicha walka**, odgłosy której przedostają się czasami i na zewnątrz.

Ale i sami „pułkownicy" nie są zadowoleni Pragnęliby bowiem dyktatury jawnej, pozwalającej im na wszystko, usuwającej kontrolę, sprowadzającej ciała ustawodawcze do roli instytucyj doradczych.

Albo — albo (c. d.)

Właściwie więc śmiało powiedzieć można, że obecnie **w Polsce niema stronnictwa zadowolonego z istniejącego stanu rzeczy.**

I mniejszości zadowolone nie są.

Żydzi skarżą się, że rząd nie wywiązał się ze swych wobec nich zobowiązań. Ukraińcy uważają ustępstwa administracyjne za nic nie znaczące, za powiadają natomiast **bezwzględną walkę z państwem polskiem.** Robią to Białorusini, choć nie tak krzykliwie.

Polityka rządu na kresach jest fatalna. Polskość się cofa, a mniejszości się wzamian za to nie pozyskuje.

Położenie gospodarcze nasuwa poważne obawy. Bilans handlowy jest fatalny i nic nie zapowiada, w przyszłości bliskiej jego poprawy. Zastój w interesach, wzrastająca ilość protestowanych weksli.

Polityka finansowa rządu **była rozrzutna.** Miarą tego jest fakt przekroczeń budżetowych i ich wysokość. Natomiast urzędnicy mają skandalicznie **małe pensje.** Ruch budowlany stoi na **martwym punkcie.** A przecież wydano 560 zgórą miljonów ponad uprawnienie. Sumy te można było zużytkować w sposób produkcyjny.

Mówi się i pisze, że obecnie rząd jest silny i trwały. Trwały tak, ale wątpić należy, czy ta trwałość — zważywszy jego politykę — jest **dla państwa korzystną;** co zaś do siły, to ta ujawnia się tylko **w dowolnych i bezpodstawnych zmianach personelu urzędniczego i oficerskiego** obejmujących tysiące osób i kosztujących miljony, oraz **w lekceważeniu konstytucji**. Żadnej planowej śmiałej polityki opartej na inicjatywie i reformach **nie widać.** Drobne wyjątki nie mogą zmienić sądu ogólnego. Do tych wyjątków należy projekt o ubezpieczeniach socjalnych.

O sanacji moralnej **jako programie** nawet co mówić nie ma. Rząd pomajowy zapowiedział walkę z nadużyciami, które przeważnie były płodem jego wyobraźni. W rezultacie żadnych nadzwyczajnych nadużyć nie wykryto. Nie wykryła ich i specjalna komisja nadzwyczajna do walki z niemi.

IV.

Taki stan rzeczy **nie może i nie powinien trwać dłużej.** System pomajowy okazał się **zabójczym. Nikogo nie zadowolił,** stworzył stan niepewności, poczucie praworządności zostało naruszone, żadnych pozytywnych zdobyczy nie dał.

Bez względu na to, czy trwać on będzie parę miesięcy, czy parę lat, obecnie już stwierdzić można, że **wali się w gruzy.** Dla państwa nie jest bynajmniej rzeczą obojętną w jaki sposób on upadnie: czy drogą powolnego rozkładu, czy gwałtowego upadku, czy wreszcie powrotu do ścisłego przestrzegania formalnie obowiązującej konstytucji?

Ostatnia droga jest **najbardziej wskazana.** Sfery decydujące powinny zrozumieć, że eksperyment z „radosną twórczością" się stanowczo **nie udał,** że czas jest najwyższy **zawrócić** z błędnej drogi. Przedłużanie istniejącego stanu rzeczy i powolne gnicie ustroju **naraża naród i państwo na nieobliczalne straty** i nie uchroni go od ostatecznego upadku. Gwałtowny upadek obecnego systemu nie jest chyba pożądany dla jego przedstawicieli.

Same sfery decydujące są rozdwojone i niezdecydowane. Żywioły rozważniejsze powinny wziąść górę.

Po trzech latach doświadczeń czas jest najwyższy ocenić trzeźwo sytuację. **Decyzja jednak nie powinna być połowiczna.** Jedno z dwojga: albo **powrót całkowity do konstytucji i prawa,** powrót szczerzy, usuwający wszelkie, wyrażając się grzecznie „nienormalności" naszego życia politycznego, albo **polityka awantur,** nieobliczalnych posunięć.

Środka niema.

Antoni Bądkowski

Parę słów o nafcie.

Niedoszła ostatnio do skutku tranzakcja w przemyśle naftowym, która przez dni kilka zatrzymywała na sobie uwagę opinji publicznej, a echo swoje znalazła nawet w sejmowym sądzie marszałkowskim — przypomniała nam najbardziej sensacyjne wydarzenia, których motorem była walka o naftę.

Oczywiście nasze „skandale naftowe" są słabym zaledwie odbiciem tego co się dzieje w wielkoświatowej grze interesów. Jednak mają i one swe ciekawe kulisy, niedostępne dla szerszego ogółu, niedocenione w ich rozmiarach oddziaływania na życie polityczne. Postaramy się zaglądnąć za nie i oświetlić bodaj jeden ich fragment.

Nim do tego przystąpimy — wydaje nam się, że jest rzeczą wskazaną wprowadzić nieco naszych Czytelników w krąg walki o naftę, przeważnie nieoświetlanej na łamach prasy codziennej.

Redakcja.

BENZYNA... RZĄDZI ŚWIATEM

Przemysł naftowy! Taki młody (boć pierwszy raz wydobyto ropę naftową drogą celowego wiercenia w Pensylwanji w 1859 r.), a już taki głośny, taki światowy i już — nie naftowy... Przemysł naftowy, to nazwa już dziś historyczna, przeżyta: **dziś chodzi o benzynę,** a nie o oświetlenie naftowe, rugowane w szerokim świecie przez gaz, a potem przez wszechpotężną elektryczność. Dziś przemysł „naftowy" nazywać się powinien benzynowym, bo tylko o benzynę — o ten **dech nowoczesnego motoru spalinowego,** pędzącego współczesne życie z coraz zawrotnieiszą szybkością samochodów, aeroplanów, okrętów motorowych, traktorów w rolnictwie i t. d. — tylko więc o tę benzynę chodzi. Ona to daje pośpiech w komunikacji, ona uskrzydla armje, ona staje się obrotem mil jonów i za miljony. **Bez benzyny nie można już dziś rozumieć nowoczesnego życia,** nie można wojować, ani zwłaszcza zwyciężać, nie można mieć znaczenia w polityce, nie można marzyć o potędze i władaniu światem.

Kto ma benzynę, ten ma władzę. Nie dziw więc, że takie wysiłki czynią państwa, aby zdobyć tereny ropodajne i zabezpieczyć sobie eksploatację bogactw ropnych. Te walki to prawdziwa **historja polityki światowej,** która zawsze cuchnie naftą...

Ropa jest wszędzie: w Ameryce Północnej i Środkowej, w Europie, w Azji, w Afryce: choć dziś wydobywa się ją już w tysiącach miejsc, ale nie wiadomo — w ilu jeszcze miejscach zostanie odkryta. **Tereny wyczerpują się szybko,** szyby martwieją po paru latach, ale wnikliwy geolog, często będący tylko niewinną naukową forpocztą armat i karabinów okupacji — wciąż wykrywa w łonie ziemi nowe pokłady modernistycznej **„aquae vitae",** t. zn. ciężkiej, cuchnącej, mazistej ropy, z której rafinerje destylują benzynę.

STANY ZJEDNOCZONE GÓRĄ

Najzasobniejsze w ropę są Stany Zjednoczone; w dodatku mają tę ropę na własnych terytorjach (Pensylwanja, Ohio, Illinois, Texas, Kalifornia i t. d). W ogólnej produkcji świata, **Ameryka reprezentuje około 70%**, i znacznie pod tym względem dystansuje inne kraje nprz. Meksyk, Rosję, Persję (są to kraje dawnej produkcji), a tembardziej Mossul, gdzie produkcja jest dopiero w zaczątkach. Produkcja naftowa Stanów Zjednoczonych **wzrastała w błyskawicznem wprost tempie:** gdy w latach 1870 — 1880 przeciętna roczna produkcji naftowej wynosiła tam około 10 milj. baryłek (à 137 kg.), to już w latach 1900 — 1910 podniosła się do przeciętnej 122 milj. baryłek, a w latach 1920 — 28 przekroczyła poziom 600 milj. baryłek (dosięgając w r. 1927 zawrotnego poziomu 900 milj. baryłek). Niema w tem nic dziwnego, jeśli się zważy, że z ogólnej ilości będących w użyciu na całym świecie w 1927 roku 28,9 miljonów samochodów, **aż 23 miljony tych pożeraczy benzyny (80%) jest w ruchu w samych Stanach Zjednoczonych!** Statystyka wykazuje, że spożycie benzyny do automobili w samych Stanach Zjedn. wyniosło w 1927 r. astronomiczną liczbę **43,6 miljarda litrów**, smarów zaś 2 miljardy litrów. A tymczasem badania naukowe stwierdzają że przy dzisiejszym tempie eksploatacji **Stany mają zapasów najwyżej jeszcze na 20 lat! Ta prognoza jest równa wyrokowi śmierci...**

W tych warunkach drzemać nie wolno. To też Ameryka „spostrzegła“, że w sąsiadującym z nią przez granicę **Meksyku... jest też ropa!** Meksyk wogóle jest b. bogatym krajem: posiada obok niezmiernie bogatych terenów ropodajnych, kopalnie złota, ołowiu, miedzi, srebra, arsenu, cynku, i t. d. Kapitały amerykańskie poszły więc **na podbój bogactw Meksyku,** co przychodzi tem łatwiej, że jak wiadomo, w Meksyku jest ciągle anarchja, rewolucja, wojna domowa oraz wogóle bałagan. Powiadają zaś wtajemniczeni **że wojen tych zgoła by nie było, gdyby Meksykiem nie interesował się nikt... zzewnątrz.** Ale oto Standart Oil (amerykański olbrzym naftowy) dzierży w swoich rękach 60% meksykańskiej nafty, a chciałby zagarnąć resztę. **Nacjonaliści meksykańscy,** oparci o konstytucję 1917 r., która zabrania wpuszczania obcego kapitału do nafty, bronią swoich bogactw krajowych no i mają przeciw sobie ciągłe rewlucje!

Ameryka widzi jednak, że tą drogą trudno będzie wybrnąć z ciężkiej sytuacji. Nim ludność Meksyku wyrżnie się wzajem, aby otworzyć wrota yankesom do ropy, wartoby obejrzeć się i gdzieindziej po świecie za nowemi terenami. **Można absentować się od Ligi Narodów, można nie interesować się Europą, ale naftą interesować się trzeba.**

Amerykanie zaczęli więc myszkować po szerszym świecie, aby znaleźć sobie nowe obszary roponośne, ale... Ale tymczasem okazało się, że **ubiegli ich wszędzie prawie Anglicy!**

WSPÓŁZAWODNICTWO ANGLO-SASKIE

Anglja też potrzebuje benzyny; mniej wprawdzie niż Stany Zjedn., ale jednak potrzebuje. A nadomiar nie posiada ropy u siebie wcale. Nawet w kolonjach własnych ma jej bardzo mało: trochę w Indjach Angielskich i na Borneo, odrobinę w Kanadzie i w Egipcie. Fraszki! Ale Anglja lubi wybiegać myślą naprzód. Gdy więc energiczni yankesi ssali ziemię - matkę do cna, nie oglądając się na jutro, to **Anglja zdobywa tereny na przyszłość.** Aparatami finansowo - handlowemi tej akcji obsiadania terenów światowych były angielsko - holenderski kolos naftowy **Royal — Dutch Co,** połączony z **Shell — Co,** oraz ruchliwa **Anglo - Persian Co,** która wdarła się do Persji. Pierwsza firma panuje dziś w Indjach Holenderskich, Wenezueli, Rumunji, Sarawaku (na Borneo) i t. d., zaś Anglo-Persian w Persji południowej. W jesieni 1928 r. te dwa giganty: Royal — Dutch — Shell i Anglo - Persian (związany blisko z Burmah Oil) utworzyły **blok interesów, reprezentujący potęgę 135 miljonów funtów kapitału zakładowego (blisko sześć miljardów złotych polskich!)**

Obecnie więc stoją na świecie naprzeciw siebie **dwa olbrzymy naftowe: amerykański Standart Oil i angielsko - holenderski blok Consolidated Petroleum.** Co one mogą i jak ze sobą walczyć będą — byłoby w tej chwili daremną rzeczą przewidywać. Że zaś w walce w środkach zbytnio przebierać nie będą, tego dowodem może być przebieg t. zw. walki o naftę rosyjską z 1928 r. Geneza jej leży w tem, że Royal - Dutch, zaangażowany jeszcze z przed wojny w nafcie rosyjskiej, a po wojnie stale szturmujący tereny rosyjskie, aby ocalić nakłady i ogarnąć na stałe w drodze koncesyj ropą rosyjską, poniósł w tych zabiegach porażkę, za co próbował się odemścić zorganizowaniem wespół ze swym rywalem, Standart'em, bojkotu nafty rosyjskiej. Układ został zawarty, poczem **Standart najswobodniej... zdradził kontrahenta, porozumiał się sam z bolszewikami i nawet, objąwszy sprzedaż nafty rosyjskiej, wdarł się w nią do Indyj,** a więc na tereny zbytu angielskie. Rzecz prosta, że doszło do ostrej walki cennikowej, która obie strony kosztowała po parę miljonów dolarów i zakończyła się powszechną mobilizacją kapitałów naftowych angielskich, które sposobią się do ostrej rozprawy.

POLSKI ZAŚCIANEK

Nasz narodowy przemysł naftowy jest, naturalnie, karzełkiem i zaściankiem w porównaniu z temi potęgami, które opisaliśmy wyżej. Zagłębia naftowe Polski pod względem swych bogactw potencjonalnych i rozmiarów produkcji są maleńką okruszyną wobec produkcji Ameryki, Meksyku, Rosji i t. d. Nasz udział w całości światowej produkcji ropy za 1927 r. wynosi **zaledwie 0,4%**, co wobec 72 pr. udziału Stanów Zjedn., spycha nas na jakieś dwunaste miejsce w szeregu producentów światowych. W dodatku **produkcja ta w Polsce od 1909 r. stale się obniża,** gdyż **stare zagłębia są wyczerpane** a na wiercenia poszukiwawczo - ponierskie brak w kraju środków finansowych, zaś zagranica tymczasem nie kwapi się na nasze trudne i głębokie tereny.

Nie od rzeczy będzie tutaj wspomnieć, że co do stosunku do Polski międzynarodowych kapitałów naftowych, to rzeczy te zostały „zdecydowane“ bez udziału naszego kraju (!!) na konferencji anglo-francuskiej **w 1920 r. w San - Remo,** gdzie polski przemysł naftowy, o ile chodzi o ulokowane w nim z dawnych czasów kapitały niemieckie i austrjackie, został podzielony między Anglję i Francję. Ostatecznie, jak się to dziś okazuje — **panią sytuacji w nafcie polskiej została Francja,** gdy gros przemysłu skonsolidowało się w r. 1927 - 28 w rękach kapitału francuskiego (Koncern „Premjera“). **Narodowa grupa w przemyśle naftowym,** usiłująca w najtrudniejszych warunkach izolacji i przeciwdziałania czynników obcych bronić polskiego stanu posiadania w nafcie, sta-

Parę słów o nafcie (c. d.)

nowi dziś drobniutki czynnik gospodarczy, choć posiadający dużo ambicji zawodowej i energji.

W MAŁEM KOTŁOWISKU

Czy Polsce zagraża poważniejsze wplątanie w światowy wir walk obozów naftowych — na to pytanie dość trudno odpowiedzieć. Dziś światowe zmagania olbrzymów naftowych, którym są uległe rządy i armje, ogniskują się **koło wielkich terenów Mezopotamji (słynna sprawa Mossulu) i Persji, Rosji, Meksyku** Że tam ze wszystkich spraw, w oficjalnej dyplomacji nazywanych dla pozorów różnie: protektoratami, obroną mniejszości, pilnowaniem porządku i t. d. — że tedy tam wszędzie mocno zalatuje odorem benzyny, to jest jasne. W Polsce, gdzie szyb daje ropę dopiero na kilometr i głębiej w ziemi **(miljon złotych koszt jednego szybu**, z ryzykiem, że będzie... suchy), gdzie już i tak panuje Francja, popierana przez Anglję, w Polsce więc trudno dziś przypuszczać, aby bezpośrednio dotknęły nas walki potencyj naftowych.

Mogą się trafiać skandale naftowe, bo nafta ma to do siebie, że brudzi, ale to będą skandale minoris generis. Natomiast wartoby było, **aby rząd i czynniki zawodowe zastanowiły się trochę nad ruszeniem naszego przemysłu naftowego z martwego punktu.** Konsumpcja t. zw. produktów finalnych i u nas wzrasta dość szybko: gdy jeszcze w 1924 r. wynosiła ona 8 kg. na głowę ludności rocznie, to już w 1927 podniosła się o 50%, do 12 kg. Ale co to znaczy choćby w zestawieniu z Francją (39 kg.), nie mówiąc o Angji (127 kg.). I jasne jest, że ta konsumpcja benzyny — będzie stale wzrastała. Tymczasem **produkcja ropy maleje: po dojściu w 1909 r. maksymalnego rozmiaru przeszło 2 miljony tonn**, spada już w 1913 do 1 miljona, a w 1921 obniża się do 700 tys. tonn. Następnie nieco wzrasta (przekracza nawet 800 tys. t.), ale znów za 1928 r. daje tylko 743 tys. 35% rozmachu z 1909 r !

Czy na to niema ratunku?

Życie w liczbach.

(MIGAWKI STATYSTYCZNE)

SŁOMIANE OGNIE POLSKIE.

Jesienią ub. roku pod naciskiem trwałej passywności naszego bilansu handlowego, rzucone zostało płomienne hasło bojkotu zagranicznych wyrobów luksusowych. Odbywały się namiętne wiece, krzykliwe pochody, powstały zaraz jakieś ligi społeczne, przez pewien czas pisała o tem prasa.

Co z tego wynikło?

Popatrzmy na liczby statystyczne. Oto tabliczka, która na paru przykładach ilustruje pod tym względem historję ostatnich miesięcy (w tonnach):

Import	X	XI	XII	I
wino	267	386	304	499
pomarańcze	1	22	125	727
kosmetyki	26	23	23	52
tkan. jedw.	20	16	15	22

Ciekawe jest, że gdy nprz. w styczniu r. 1928 import wina wynosił 345 t., to w styczniu r. b. wynosi on 499 t., czyli o 45% więcej. Kosmetyków i pachnideł zagranicznych importowaliśmy w styczniu 1928 r. 37 t., a w r. b. już 52 t., czyli znów o 40%.

Cóż z takiem społeczeństwem robić?

Narzeka każdy na biedę, a liczby — zimne, obojętne liczby mówią o karygodnej lekkomyślności.

Słomiany polski ogienek frazesów o bojkocie luksusu zagranicznego wytlił się po paru tygodniach. I znów płyną do biednej Polski wina, perfumy, pomarańcze, winogrona, jedwabie...

Co tu poradzi najlepszy nawet rząd, jeśli my sami niszczymy się dobrowolnie!

TEN I ÓW ROBI KLAPĘ...

W r. 1928 ogłoszono ogółem w Polsce 258 upadłości handlowych, przyczem liczba ta jest większa od „pokłosia" upadłościowego za r. 1927, gdyż w tym roku było ich tylko 204.

Statystyka ujawniła, że łatwiej „plajtują" spółki akcyjne, niż spółdzielnie.

Ciekawe jest, co pokaże rok bieżący?

CZYŻBY, JAK WE FRANCJI?

Statystyka powiada, że przyrost naturalny ludności w Polsce w ostatnich latach słabnie. Oto liczby, wskazujące na to intrygujące zjawisko (różnica między urodzeniami i zgonami):

1925	—	542.011
1926	—	451.778
1927	—	427.366

Rok 1928 przyniesie pewną poprawę, która zbliży nas do liczby 500.000 przyrostu rocznego.

Naturalnie, na podstawie statystyki trzech lat nie można budować żadnych wniosków. Bądź co bądź jest ciekawe jednak, że nprz. 1927 r. mógł wykazać w stosunku do 1926 r. tak znaczny spadek przyrostu, bo prawie o 20%.

Gdyby to zjawisko miało być trwałe, to oznaczałoby, że idziemy śladami Francji...

CHEVROLETY, CHYSLERY, MINERWY...

Stan zarejestrowanego taboru samochodowego w Polsce stale wzrasta: „Biegało" w kraju samochodów:

	ogółem	osobowe	ciężarowe
31. XII. 25.	17.151	8.768	2.811
31. XII. 26.	19.655	9.606	2.966
31. XII. 27.	25.656	12.799	3.494
31. XII. 28.	34.298	15 670	4896

A więc wzrost automobilizmu o 100%!

Niewątpliwie, mimo wszystko, jest to dowód podnoszenia się kultury. Nprz. taksówek w ciągu trzech lat przybyło w kraju 3.800 sztuk. Liczba autobusów wzrosła z 756 do 2.841.

Na froncie zewnętrznym

Ceterum Censeo

W ostatnim, przedświątecznym tygodniu sporo hałasu w prasie zagranicznej narobił artykuł poczytnego organu liberalnego „Koelnische Zeitung" poświęcony omówieniu stosunków polsko-niemieckich.

Z zainteresowania, jakie temu artykułowi poświęciła prasa francuska, a zwłaszcza ten jej odłam, który — propagując porozumienie francusko-niemieckie — patrzy na nasze stosunki z sąsiadem zachodnim pod kątem widzenia t. zw. pokojowej rewizji granic — widać niedwuznacznie, że w danym wypadku chodzi o artykuł wybitnie propagandowy.

Tym razem autor artykułu z wyraźnem przeznaczeniem na eksport — użył zręcznej bardzo metody agitacyjnej. Nie darmo przecież rzecz ta pojawiła się w organie ściśle związanym z polityką ministra Stresemanna.

WSPÓLNOŚĆ INTERESÓW.

Główna część wywodów poświęcona jest dowodzeniu jak dalece mylą się Polacy nie lubiąc Niemców, niedowierzając ich zamiarom politycznym, gdyż w gruncie rzeczy między Polską a Niemcami niema żadnej trwałej i uzasadnionej sprzeczności interesów i że tylko od dobrej woli Polski zależy, aby między obema państwami, których życiowe i gospodarcze interesy są tak ściśle ze sobą związane — doszło w niedługim czasie do zupełnego porozumienia.

Język — jak widzimy — ultrapacyfistyczny i realistyczny zarazem — o przyrodzonej niejako zbieżności interesów gospodarczych, język — jednem słowem — modny dziś i zrozumiały na Zachodzie. Oczywista, że po tak zarysowanem exposé — opinja całkowicie przyklaśnie apelowi niemieckiego dziennikarza, który z niepokojem zapytuje „czy znajdzie się w końcu polski mąż stanu, który — nie zważając na ujadanie kół szowinistycznych — podejmie się pracy nad prawdziwym pokojem na wschodzie".

„NIEWINNE" PRZEMYCENIA.

W tem ujęciu artykuł ten, którego echa były dość rozległe, nie znalazł na ogół ani w prasie zagraniczenj, ani przeważnie w polskiej, należytej oceny i odpowiedzi. Stało się to dzięki temu, że zręczny autor artykułu najistotniejsze jego myśli ukrył w powodzi popularnych argumentów, przemycając niejako mimochodem to, co stanowi właściwy jego sens i cel propagandowy.

Te „niewinne" przemycenia w oczach polskiego czytelnika nabierają dopiero właściwego znaczenia. A więc czytamy tam, że Niemcy pogodziły się już w znacznej części ze stanem rzeczy, wytworzonym na wschodzie przez traktat wersalski, — „nie mogą się jednak pogodzić z tem, by ich obszar państwowy pozostał rozerwany z powodu rzekomej konieczności Polski posiadania dostępu do morza"...

Po tak wyraźnem oświadczeniu spieszy autor pacyfistycznego artykułu zapewnić czytelników, że „przywrócenie złączenia tego obszaru" jest oczywiście dopiero „troską przyszłości".

W ŚWIETLE HISTORJI.

Mamy tu znamienną próbkę nowego trick'u agitacyjnego. Że w nim logika jest na opak, to oczywiście niemieckiego autora nie krępuje. Nie jego wszakże jest rzeczą pamiętać i przypominać, że Niemcy przed upadkiem Polski tego złączenia nie posiadali, że uzyskali je dzięki gwałtowi i zbrodni, zadanej sąsiadowi, którego wspaniałomyślności i dobroduszności z jednej, a krótkowidztwu politycznemu z drugiej strony — zawdzięczali opanowanie ziemi, którą nazwali swym obszarem państwowym.

W tych warunkach logika /rozumowania niemieckiego i pod innym względem jest zrozumiała, mianowicie tam, gdzie usiłuje ona stawiając rzeczy na wspak dowieść, że dla ułatwienia im „złączenia" i wygody 2-miljonowych Prus Wschodnich należy poświęcić interesy, rozwój i przyszłość 30-miljonowej Polski.

Bo pod tym względem nie ma i nie może być w Polsce dwu zdań.

Kroniki tygodniowe

NA TLE FILMU O CZYNGIS - CHANIE. — CZYNGIS - CHANJA W LITERATURZE EUROPEJSKIEJ. — ILJA ERENBURG I POLSKA. — POLSKA „CZYNGIS-CHANJĄ". - KADEN BANDROWSKI, „LENORA" i „CZARNE SKRZYDŁA" — GORYCZ I PIOŁUNY. — CZY BANDROWSKI „TRAFIŁ"? — EPIGONI PESYMIZMU. — POLSKA „CZYNGIS - CHANJA" Z PRZED TRZECH LAT... — O „JASNYCH SKRZYDŁACH"

W jednem z kin stołecznych rozpoczęto wyświetlać film, który nosi tytuł:

— BURZA NAD AZJĄ.

Głównym bohaterem tego niezwykłego obrazu jest potomek Czingis - chana.

Nazwisko „praprzodka" nowoczesnego mongoła, którego przezwałbym „Neo - Czyngis - chanem" i burza, którą wszczyna w poczuciu sprawiedliwego gniewu wobec europejskich „bladych twarzy" nasuwają mi pewne refleksje.

Literatura, jako zwierciadło życia danego narodu, również przeżywa okresy „Czingis - chanji".

Szczególnie często dzieje się tak. w przededniu wszelkich kataklizmów dziejowych. Jeszcze częściej — po nich.

I myśmy przeżyli okres takiej „Czingis - chanji" w literaturze. Poczęło się od tego, że od zachodu, gdyż z Paryża, po przez całą Europę, burzą parło nazwisko bodaj, że największego „Czingis - chana" w literaturze nowoczesnej:

— ILJI ERENBURGA.

Dzieła jego tłomaczono prawie na wszystkie języki świata. Większość ich przetłomaczono także na język polski.

Pamiętam, że przed kilku laty, witryny księgarń polskich „szczyciły się" tym autorem. Pamiętam, że szereg młodych literatów naszych drżał, gdy czytał jego „czingis - chanje" powojenne. Wtenczas już lękałem się poważnie o to, że „wielki mongoł" z Sowietów (Ilja Erenburg jest sowieckim obywatelem!) — „zarazi" literackie dusze w Polsce.

Stało się tak, jak to można było przewidzieć.

Najpierw słabsi, później coraz zdolniejsi i bardziej przez muzy umiłowani literaci, sięgną do „czarnej krynicy natchnienia", z której czerpał i czerpie nawpół - azjatycki Ilja...

Stało się tak.

Po niemal tryumfalnem przyjęciu, zgo-

Na froncie zewnętrznym (c. d.)

Polska pozbawiona własnego, całkowicie nieskrępowanego dostępu do morza — przestaje być państwem istotnie niepodległem i suwerennem. To jest nasze narodowe **ceterum censco.** Polacy współcześni błędów swych przodków z XV i XVI wieku nie powtórzą, bo zbyt dobrze pamiętają, że po nich nastąpił wiek XVIII i upadek państwa polskiego.

NON POSSUMUS...

Samo przez się rozumie się, że to twarde, nieugięte nasze non possumus w kwestji dostępu naszego do morza, w niczem nie przeszkadza ustaleniu warunków naszego porozumienia i współpracy z naszym sąsiadem zachodnim. Spór o przeszłość możemy zostawić historykom. Warunki gospodarczej współpracy obu państw i płynące stąd korzyści i konjunktury są tak ponętne, że napewno nie braknie po obu stronach dość żywiołów, które porozumienie to potrafią zorganizować. Pod tym względem nawet najwięksi w Polsce „szowiniści" żadnych uprzedzeń do Niemiec nie żywią.

Potrzeba tylko jednego zasadniczego warunku: by Niemcy uznały bez zastrzeżeń nasz dostęp do morza i przestały jakąkolwiek drogą, chociażby najbardziej „pokojową", atakować ten stan prawny, na którym się ten nasz dostęp do morza opiera.

Nawiązując do podejrzanego apelu „Koelnischer Zeitung" wypada z góry wyrazić obawę, czy znajdzie się niemiecki mąż stanu, któryby nie zważając na szowinistyczne ujadania — na tej jedynie wskazanej i celowej drodze — podjął się pracy nad utrwaleniem pokoju na Wschodzie.

Na froncie wewnętrznym

Przesilenie rządowe

Od dwuch z górą tygodni znajdujemy się w okresie przesilenia rządowego. Dotąd jeszcze nie zostało ono wprawdzie formalnie otwarte przez dymisję gabinetu p. Bartla, ale temniemniej wybuchło najpierw w formie utajonej, a ostatnio zupełnie jawnej.

Ze strony oficjalnej brak jakichkolwiek informacyj o tem, co jest przyczyną ustąpienia p. Bartla i jakie elementy przy tworzeniu nowego rządu brane są pod uwagę. Prasa, parlament, kraj cały skazani są wyłącznie na domysły i przypuszczenia. Ma to być ta nowa, z teorji „silnego rządu" zrodzona metoda rozwiązywania arcydoniosłego zagadnienia państwowego, jakiem jest charakter, skład i program działalności władzy wykonawczej.

GRZECHY „SEJMOWŁADZTWA"

Dawniej w okresie t. zw. sejmowładztwa przesilenia rządowe miały w Polsce również swój specyfistyczny charakter. Nie znaczy to, że dokonywały się one w całkowitej zgodzie z treścią i duchem Konstytucji marcowej, że poszczególne fazy tworzenia rządu, desygnowania premjera, doboru ministrów, ustalenia programu przyszłej ich działalności — odbywały się w sposób chlubnie świadczący o poczynaniach i metodach pracy naszej młodej i niedoświadczonej demokracji parlamentarnej.

W opinji zostało z tego wszystkiego wspomnienie niezupełnie zaszczytne i nie bardzo budujące. Owe dość często wybuchające, a z reguły prawie dość długotrwałe okresy tworzenia nowego rządu — stanowiły najczarniejszą kartę naszego t. zw. sejmowładztwa. Kraj z przerażeniem obserwował niezrozumiały przeważnie dla siebie przebieg „rokowań" między partjami. Ów doktryneryzm „zasadniczego" stanowiska, połączony ze skrajnym ostracyzmem, wykluczającym pracę jednych z drugimi, gdy się samemu nie było w stanie wytworzyć większości. Owe dnie **całe się** wlokące „uzgadnianie" programu, a na koniec akt ostateczny: ustalanie składu gabinetu nie pod kątem widzenia kwalifikacyj rzeczowych, ale t. zw. klucza partyjnego.

---

towanem w Warszawie „Wielkiemu Mongołowi z Sowietów" przez pewną część braci literackiej w Polsce, pojawiły się dwie książki świetnego stylisty, Kaden Bandrowskiego „LENORA" i „CZARNE SKRZYDŁA".

Sięgnijmy do niedawnej przeszłości.

Kaden Bandrowski był jednym z tych który może najżywiej i najszczerzej witał Ilję Erenburga w Warszawie.

Był to bezwarunkowo wielki i bezinteresowny entuzjazm dużej miary pisarza, dla niezwykłego „meteorytu" literackiego, który rozbłysnął na firmamencie powojennej Europy. „Meteoryt" padając na grunt duszy polskiej i rozpryskując się przy zetknięciu z nią w tysiączne, fosforyzujące bryzgi, nie mógł nie „opalić" — nie „wypalić" stygmatu w jaźni Kadena.

Bandrowski sięgnął do „krynicy" mistrza...

Daleki jestem od tego, abym miał sądzić Bandrowskiego, czy dobrze uczynił.

Nie do mnie ten sąd należy.

Zastanawia mnie tylko to pytanie, czem są „Lenora" i „Czarne Skrzydła" na tle — życia polskiego.

Tutaj muszę być bezwzględny. „Dzika" i pełna goryczy piołunowej poezja wiejąca z kart tego dzieła (lub tych dzieł!) — nie jest poezją na czasie. Mojem zdaniem Kaden Bandrowski — chybił.

Ten pisarz o głębokiej i wnikliwej duszy, jest dzieckiem — Wojny. W czasie jej panowania „dorastał". Wraz z nią „poczynał żyć". Najpierw „zachłysnął się" nią. Obok przedwcześnie zgasłego rymotwórcy legjonowego, poety nieprzeciętnej miary i talentu, ś. p. Mączki — kochał „polską wojnę". Wszak i dziś jeszcze, jego opisy legjonów i żołnierstwa legjonowego, chwytają za gardło każdego, kto potrafi zapomnieć o „brygadach", lecz — wsłuchać się „bezinteresownie" w melodję wielkiego eposu, pierwszych po długiej niewoli, zmagań się i czynów polskiego oręża...

Kaden Bandrowski był wówczas — sobą.

Śmiało powiedzieć mogę, że wtenczas NARÓD GO SŁUCHAŁ. Gdyż wraz z nim, przez polskie rozłogi szedł czar zapowiedź tych wielkich zdarzeń, które poruszyły serca rodaków na trzech kontynentach i były niezawodnym i niezaprzeczonym — ZWIASTUNEM POLSKIEJ WOLNOŚCI!

Ja sam, jako pacholę, w dalekiej Moskwie wegetując na największej polskiej emigracji, dzieła jego, przemycane przez kordony niemieckie i rosyjskie, czytałem z zapartym oddechem. Nie ja — tylko! Setki polskiej młodzieży na wygnaniu, czyniło to — samo!

I — raptem?

POTĘPIONE METODY

To wszystko minęło jak zły sen.

Nastały w Polsce czasy, że kuluary sejmowe nie są targowiskiem ministerjalnym, że prasa nie przynosi co godzin kilka fantastycznych sprawozdań z najrozmaitszych tysiącznych kombinacyj partyjnych i personalnych, że gawiedź uliczna nie emocjonuje się rozgrywką rządowo-twórczą leaderów partyjnych niby najbardziej oczekiwanym biegiem sezonu wyścigowego.

Dawne metody zarzucono, potępiono z całą bezwzględnością jako złe, przeklęte, potworne. W ferworze krytyki nie zadano sobie nawet trudu zastanowienia się, czy istotnie w nich tylko wyrażała się w sposób należyty, trafny i celowy metoda pracy demokratyczno-parlamentarnej? A dalej — czy nawet, przyjmując, że ta metoda miała wiele cech ujemnych, naleciałości niezdrowych, gdzieindziej nieznanych — nie posiadała, mimo wszystko, pewnych objawów korzystnych?

Otóż w naszej krytyce t. zw. sejmowładztwa zwykliśmy przedewszystkiem zapominać o jednym, że młody nasz parlamentaryzm nie miał za sobą żadnego doświadczenia. Nie mogli być jego mistrzami nawet ci nieliczni parlamentarzyści, którzy do Sejmu Ustawodawczego weszli z parlamentów zaborczych zważywszy, że parlamenty te miały zupełnie inną rolę w ustroju politycznym danych państw i że również charakter i rola w nich polskich reprezentacji były zupełnie inne.

ŹRÓDŁA „SEJMOWŁADZTWA"

Dekret Naczelnika Państwa, potwierdzony następnie w swej części zasadniczej wolą wybranych na tej podstawie przedstawicieli narodu w formie t. zw. małej Konstytucji — nadał Sejmowi Ustawodawczemu uprawnienia najwyższej władzy zwierzchniczej w państwie. W tem, w ten sposób dokonanem pomieszaniu zasadniczych pojęć i wynikających stąd uprawnień, a następnie w wyrosłej na tem tle w ciągu prawie czteroletniego istnienia pierwszego Sejmu praktyce prawno-państwowej — szukać należy istotnych źródeł naszych obyczajów sejmowych i metod t. z. sejmowładztwa.

Praktyki te były tak silne, że w naturalny niejako sposób ustaliły się od chwili zebrania drugiego Sejmu, gdy weszły już w moc obowiązującą postanowienia Konstytucji marcowej. Przecież nigdzie ani w treści ich przepisów, ani w ich duchu nie znajdziemy potwierdzenia takiej interpretacji art. 45, że mianowanie prezesa Rady Ministrów zastrzeżone Prezydentowi Rzeczypospolitej — ma być z jego strony tylko formalnem dopełnieniem aktu nominacji na wybrańca poufnych narad przewódców partyjnych, tak jak za czasów małej Konstytucji, na kandydata wskazanego przez wybór sejmowej Komisji Głównej. Prawo Prezydenta Rzpltej swobodnego wyboru kandydata na szefa rządu jest w Konstytucji zastrzeżone bez żadnych ubocznych myśli. Czczą formalność zrobiła z niego dopiero odziedziczona po Sejmie Ustawodawczym „suwerenna" praktyka sejmowa.

RZECZYWISTOŚĆ KONSTYTUCYJNA

Jeżeli tedy od trzech lat powoływanie szefa rządu dokonywa się niezależnie od wpływu parlamentu to jest to tylko należyte wyciągnięcie konsekwencji z zagwarantowanych konstytucyjnie uprawnień głowy państwa. Ale nie jest zgodne z duchem panującego — przynajmniej formalnie dotąd u nas ustroju konstytucyjnego pomijanie całkowite parlamentu, demonstracyjne lekceważenie życzeń ciała ustawodawczego, z którem rząd ma w ściśle określonych granicach współpracować, którego zaufanie posiadać musi, jeśli praca jego ma być celową i skuteczną.

Oczywiście Konstytucja nasza nie przepisuje szczegółów w jaki sposób głowa państwa, a następnie powoływany przez nią rząd — mają dokonywać zasiągania opinji parlamentu, przy pomocy jakich metod mogą organizować najskuteczniejszą z nim współpracę. W tej dziedzinie wskazówką może być jedynie doświadczenie innych państw o podobnym do naszego ustroju, oraz własne, przez własną myśl i poczucie odpowiedzialności wytwarzane.

W ŚWIETLE ODPOWIEDZIALNOŚCI

Ale jedno zdaje się nie ulegać żadnej wątpliwości: Oto, że w dzisiejszych warunkach, żadnemu aktowi w polityce państwowej, zwłaszcza tego rodzaju jak powołanie rządu, nie może wyjść na dobre to wszystko co jest wynikiem

---

Nie raptem — Kaden Bandrowski stał się pesymistą i... „uczniem" ILJI ERENBURGA. Jak świat starą jest prawdą to, że niezły żołnierz na froncie, po ukończeniu wojny — „traci się wśród cywili". Autor Lenory" i „Czarnych Skrzydeł", „zgubił się" ostatecznie wtenczas, gdy po wojnie — ściskał dłoń Ilji Erenburga.

Poszedł za nim...

I — chybił...

Czingis - chan, lub choćby najszlachetniejszy „Czingis - cham", zawsze był, jest i będzie tylko — przejściowcem, to jest tym, dla których rosjanie wynaleźli cudowną nazwę — „wremienszczyk"!

Sława Ilji Erenburga także mija. Przynajmniej w prawdziwej Europie, bodaj, że już o nim zapomniano. Stało się z nim tak, jak zwykło dziać się z każdym meteorytem, który spala się sam, przy zetknięciu z „ziemską atmosferą"...

W „Lenorze" i „Czarnych Skrzydłach" — jest niestety tylko i wyłącznie — epigonem przejściowca Erenburga. Jest — epigonem „Czyngis - chanji" w literaturze polskiej.

Z racji otrzymania wielkiej nagrody literackiej m. Warszawy, o ile pamiętam, Kaden - Bandrowski miał powiedzieć (wolna cytata):

— Pragnąłbym, aby ta moja nagroda przyczyniła się do tego, aby dzieła moje trafiły...

Nie trafią!

Nie dojdą do szerokich mas ani „Lenora", ani „Czarne Skrzydła"! Tak, jak nie doszedł chociażby, wielki w swoim pesymiźmie — ś. p. Stanisław Przybyszewski.

Nie dojdą dlatego, że — literatura dopiero wtenczas spełnia swoje zadania, gdy choć o pół kroku — wyprzedza życie, a nie zaś — „kroczy pół kroku za niem"...

Polska już przeżyła swoją „Czyngis - chanję". Działo się to przed — prawie trzema laty... Następna może przyjść dopiero za całe stulecia!

Dlatego — tak wyraźnie: „przez muzy przy powiciu w usta całowany" pisarz, jakim jest Kaden Bandrowski, powinien pamiętać, że rzeczywistość (polska rzeczywistość!), każe mu wziąść rozbrat z „Czarnemi Skrzydłami" i w najbliższym czasie napisać:

— Jasne Skrzydła!

Na te — Polska czeka.

JULJAN PODOSKI

Na froncie wewnętrznym (c. d.)

bądź gry i wpływów czynników nieodpowiedzialnych czy nieznanych, bądź dziełem zwykłego przypadku. Jakiekolwiek ujemne strony miały poprzednio rozgrywające się przesilenia rządowe w Polsce, tę jedną dla pogłębienia wyrobienia politycznego społeczeństwa miały dobrą stronę: dokonywały się w atmosferze pełnej jawności, na oczach całego społeczeństwa. Prawda widowisko nie zawsze było pociągające, ale ustalały się w opinji fakty odpowiedzialności stronnictw i przewódców, krystalizowała się kontrola społeczeństwa, zarysowały jasno i wyraźnie praktyczne możliwości działania, wysuwali na widownię i podlegali publicznemu osądowi główni aktorzy.

Dzisiaj panują inne metody. Rząd przygotowuje się w zaciszu rozmów „czynników decydujących", parlament na wakacjach, o jego opinję, nikt się nie troszczy, społeczeństwo może się trudzić zgadywaniem jaka koncepcja rządowa zwycięży i jacy kandydaci przyjdą do mety. A post factum również rozwiązywać łamigłówkę: dlaczego ten a nie tamten?

Niepewność nie ustąpiła, przypadkowość uległa wzmocnieniu, a przybyła tajemniczość...

Poczekajmy, jaki to da rezultat dla państwa.

Pracujmy sumienniej

Bardzo przykrą, więc i bolesną sprawą jest dla mnie sposób wykonywania pracy przez różnego rodzaju pracowników.

Dyrektor, czy minister, „śpieszący" — bez pośpiechu — do pracy, opóźnia się znacznie, bo nie ma nad sobą żadnej kontroli na miejscu.

Spotykam raz takiego pana o godzinie 11-tej.

— „Pan dyrektor już z biura?" — pytam.

— „Nie, dopiero do biura" — odpowiada ze śmiechem.

— „Trochę późno" — zauważam.

— „Nikt mnie nie kontroluje" — pada odpowiedź.

*

Urzędnik (wyjątki są zawsze i wszędzie!) pracuje wtedy pilnie, gdy patrzy na niego zwierzchnik. Z chwilą jego nieobecności rozmawia, czyta gazetkę, lub w ostateczności odrabia „kawałki" opieszale, leniwie.

Załatwiając pewne formalności w jednym z naszych urzędów, postanowiłam odwiedzić dobrego znajomego, pracującego w charakterze sekretarza tej instytucji.

Pukam do jego drzwi.

— „Proszę!" — słyszę z pokoju trochę niecierpliwie, i jednocześnie odgłos, jakby zatrzaskiwanej szuflady.

Wchodzę trochę zdetowaną, pytając zaraz na wstępie, czy nie przeszkadzam.

— „Ależ, bardzo proszę, — pogadamy sobie swobodnie, niema kierownika, wyszedł za jakiemiś sprawami.

— „Może jednak ma pan dużo roboty"?

— „Gdzietam!... — zresztą zrobi się wszystko jak nie dziś, to jutro".

— Ale może przerwałam panu pracę?"

W odpowiedzi znajomy urzędnik wysuwa szufladę od biurka i ze śmiechem mówi:

— „O, proszę, co mi pani przerwała! Czytam w szufladzie! Jak kto wejdzie, zasunę ją, — a tu leżą papiery, pióro — i już piszę".

*

Bywam często w sądach.

W jednym sądzie wyższej instancji trzy urocze urzędniczki, „pracujące" w oddzielnym pokoju, zawsze rozmawiają, czytają na głos „Czerwoniaka", opowiadają sobie ploteczki, a rzucają się do roboty dopiero wtedy, gdy wejdzie do sąsiedniego pokoju generalny sekretarz.

*

Wchodzę do sklepu.

Piękna panna sklepowa siedzi wygodnie za kontuarem, czytając zapamiętale pewno jakiś romans.

— „Dzień dobry" — mówię.

Milczenie.

Nawet spojrzenia w mą stronę nie rzuci.

Mówię, czego potrzebuję.

— „Niema!" — pada złe warknięcie.

Panienka była sama w sklepie, nikt jej nie pilnował, folgowała więc swemu lenistwu i złemu wychowaniu.

*

W alei Grójeckiej podnoszono i równano poziom ulicy.

Codziennie przejeżdżałam tamtędy o jednej porze dnia.

I zawsze widziałam robotników wygodnie wspartych na łopatach, gwarzących wesoło, niefrasobliwie palących papierosy.

Czasami znalazł się jakiś głupszy, co leniwie przewracał łopatą ziemię, ociężale, — bo nikt nie pilnował, a płacono na dniówkę.

To też robota ciągnęła się w nieskończoność.

I tak nie rozumiem kiedy i w jaki sposób zniwelowano ulicę?

*

Wiemy wszyscy, że przez całą jesień, zimę i wiosnę aż do sierpnia nie dochodziły tramwaje na Mokotów. Przeprowadzano kanalizację.

I tam często musiałam iść pieszo drogą tramwajów. I nieraz przyglądałam się ślimaczej „robocie" tamtejszych robotków.

Myślałam sobie, czem się to dzieje, że ta „robota" jednak się posuwa, choć się posuwa prawie niewidocznie. Przecież dojechano do końca!

Szeroko rozłożone ognisko, wokół niego roześmiani i palący ludzie, każdy z łopatą lub kilofem w ręku — a jakże...

*

Ostatniej zimy, gdy już straszne mrozy zelżały i skończyły się te „nieskończone" opady, Magistrat wysłał na miasto robotników autami ciężarowemi do zbierania śniegu z ulic.

Byłam świadkiem fascynującej sceny.

W wąskiej szyi ulicy Miodowej na rogu Długiej przystanku tramwajowym zatrzymało się takie auto. Zeskoczyli zniego dwaj dziarscy chłopcy i z rozmachem, tarasując przechodniom miejsce na wąskim chodniku, zbierali łopatami śnieg. Każde zamaszyste podniesienie łopaty w górę mogło zabić, ktoby nawinął się pod nią.

Przechodził w tej chwili jakiś starszy, poważny jegomość, z teczką pod pachą.

I jemu właśnie takie zabójcze uderzenie zawisło nad głową Odskoczył i zmierzył wzrokiem nieostrożnego robotnika. Ten ani myślał przeprosić, albo zatrzymać łopatę, tylko zamachnął nią jeszcze potężniej, a w stronę owego jegomościa krzyknął:

— „Po jakiego... włóczysz się tu!?"

Zatrzymał się ten napastowany przechodzień, poruszony bezczelnością.

Tymczasem za autem utworzył się długi sznur tramwajów, które bezskutecznie dzwoniły, by ustąpiło im z drogi.

Szofer ani myślał; z obojętnością człowieka głuchego patrzał ze znudzoną miną na kupę śnigu.

Nagle wynurzyła się z głębi ulicy sylwetka komisarza policji. W jednej chwili szofer puścił w ruch auto i odjechał pędem, a za nim, co tchu, pobiegli z łopatami na ramieniu, czupurni i zadzierżyści robotnicy.

*

W tych kilku obrazkach skreśliłam bardzo a bardzo smutny objaw lenistwa, lekceważenia swych obowiązków, niesumienności i gburowatości ze strony pracowników.

Chcemy, żeby Polska była silną i bogatą — a nie wiemy, że może być taką tylko przez sumienną i uczciwą pracę najmniej znaczącego pracownika, wykonywującego najskromniejszą pracę.

Tylko wspólny wysiłek wszystkich bez wyjątku pracowników — czy to będzie dyrektor, urzędnik, sklepowa czy robotnik, — wszystkich, uczciwa, ze zrozumie-

niem wykonywana praca — może podnieść dobrobyt poszczególnych jednostek, a z nią i całego państwa.

Widzimy wśród pracujących lekceważenie własnego zajęcia, a jednocześnie brak karności i ambicji, aby wykonać pracę najlepiej i najprędzej. Żadnej werwy ani ochoty do pracy.

Sztuczny zapał ogarnia nas dopiero na widok władzy naszej, to jest na widok bata.

A wstyd, że jak zwierzątka dzikie lub źle wychowane dzieci, boimy się tylko groźby.

Możemy jeszcze się poprawić, i pracować, jak pracuje Amerykanin i Niemiec!

M. Ujazdowska.

MOŻE TAK -- MOŻE NIE

WŚRÓD OSZCZERSTW PRZECIWPOLSKICH

Międzynarodowy kongres anty-faszystowski, pozostający pod przewodnictwem Henri Barbusse'a wydaje stały biuletyn.

W numerze 5-ym z dn. 7marca 1929 r. zamieszczony jest artykuł nieznanej wielkości o nazwisku czy pseudonimie „St. Brzeziński" zatytułowany „Faszyzm w Polsce".

W artykule tym mamy całkowity komplet oszczerstw jakie tylko można rzucić Narodowi i Państwu Polskiemu. Przedew szystkiem więc twierdzi się, że przygotowuje się w Polsce wojnę przeciwko Sowietom, następnie twierdzi się, że mimo formalnie wprowadzonego 8 godzinnego dnia pracy robotnik faktycznie pracuje w Polsce 10 — 12 godzin dziennie. Strajki mają być w Polsce łamane przy pomocy najbrutalniejszego terroru policyjnego. Przeciw mniejszościom narodowym ma być prowadzona polityka eksterminacyjna. Więzienia polskie mają być przepełnione przez włościan i robotników, cierpiących za swe przekonania.

Przykro jest jednak, że wśród tych oszczerstw, znajdują się jednak zarzuty, do których pewne ugrupowania polskie dają powody. Za granicą szanuje się powszechnie reprezentację narodową; za granicą szczytem reakcyjności jest lekceważenie Parlamentu, wszelkie ograniczenia praw izb ustawodawczych uważane są wśród państw kulturalnych zachodu za kamień obrazy dla demokratycznego społeczeństwa.

Prawdopodobnie dla tego powołany Brzeziński pragnąc wzbudzić zaufanie do swej prawdomówności wśród demokracji zachodu pisze — „Z niezwykłą umiejętnością potrafi polski faszyzm swoje reakcyjne zamiary pokrywać demokratycznemi pozorami, aby zmylić robotników i chłopów co do swoich właściwych celów. W Polsce jest również i Parlament. Ten Parlament uchwala budżet i załatwia bieżące sprawy. Ale nikt w całej Polsce od Piłsudskiego aż do ostatniego policjanta nie martwi się o jego postanowienia; ministrowie, którzy według Konstytucji są odpowiedzialni przed Parlamentem, śmieją się z tego, zaś dyktator i zarazem minister spraw wojskowych Piłsudski nazywa Parlament domem publicznym i zbiorowiskiem ulicznic".

Oszczerstwa wstręt wzbudzają, ale ostatni cytowany dosłownie ustęp artykułu Brzezińskiego winien nas skłonić do zastanowienia się, czy w młodym Państwie Polskim wszystko tak się dzieje jak powinno i mogłoby się dziać.

NIEPRAWOŚCI PRZEDMAJOWE PRZED SĄDEM

Dużo hałasu narobiła w miodowym okresie „sanacji moralnej" t. zw. komisja nadzwyczajna do zwalczania nadużyć na szkodę skarbu państwa, powołana do życia dekretem Prezydenta Rzplitej i wyposażona w szczególne pełnomocnictwa.

Miał to być generalny bicz na przedmajowe „nieprawości".

Komisja nadzwyczajna zabrała się energicznie do pracy. Z pracowitego dorobku jej śledztw wzrosły grube tomy dochodzeń i oskarżeń. Były sensacyjne aresztowania, a wreszcie rozpoczęły się sprawy sądowe.

I oto od czasu do czasu kroniki sądowe informują nas o losie z takim nakładem kosztów i energji wszczętych spraw.

Świeżo np. w jednym dniu (27 marca 1929 r.) czytamy w prasie codziennej o dwóch sprawach rozpatrywanych z oskarżenia nadzwyczajnej Komisji.

W jednej — przeciwko b. radcy prawnemu Banku Gosp. Krajowego dr. Mażewskiemu oskarżonemu o wymuszanie łapówek i liczne nadużycia — Sąd Apelacyjny ZATWIERDZIŁ UNIEWINNIAJĄCY WYROK Sądu Okręgowego.

W drugiej — przeciwko b. dyrektorowi „Polminu" inż. Hoffmanowi, oskarżonemu o popełnienie nadużyć materjalnych na duże sumy — Sąd Okręgowy UMORZYŁ POSTĘPOWANIE KARNE.

W tych warunkach nawet ultra - sanacyjny „Express Poranny" żerujący na najbardziej bezceremonjalnem zohydzaniu stosunków przedmajowych, smętnie przyznaje, że nadzwyczajna Komisja odniosła dotąd jedynie jeden sukces w drobnej sprawie jakiegoś inspektora skarbowego na Pradze. W innych procesach materjał śledczy zebrany przez nadzwyczajną Komisję z reguły zawodzi...

WOLANCIK P. BALIŃSKIEGO I LIMUZYNA TOW. JAWOROWSKIEGO

Gdy w swoim czasie b. prezes warszawskiej rady miejskiej, p. Ignacy Baliński ukazywał się na ulicach Warszawy w eleganckim wolanciku, zaprzężonym w spasione szkapy magistrackie, końca nie było protestom i krzykom oburzenia z powodu tak bezceremonjalnego posługiwania się inwentarzem miejskim. A gdy w ślad za wolantem p. prezesa na bruku zadudniła dryndulka p. wiceprezydenta Ilskiego, nie było chyba uświadomionego przez prasę brukową przechodnia, który nie zżymałby się na podobne używanie dla celów prywatnych magistrackiej siły pociągowej, która w daleko pożyteczniejszy sposób mogłaby być zastosowana do obsługi sikawek lub wozów do sprzątania śmieci.

Ale p. Baliński oddawna już przeprosił się z demokratycznym tramwajem, a p. Ilski zdążył już schudnąć wskutek używania ruchu, a nikt nie zainteresował się pytaniem, jak też jeździ po Warszawie obecny Prezes Rady Miejskiej, towarzysz Rajmund Jaworowski?

Przywódca BBS-u idzie za postępem czasu, wolancik więc i dryndulka poszły do lamusa, a ich miejsce zajęła wspaniała, czterdziestokonna limuzyna. Że jednak p. prezes szanuje również tradycje i rozumie, że tak znaczna persona nie może jeździć bez hajduka, więc na koźle, obok szofera wozi ze sobą lokaja, nie lokaja, bo bez liberji, żandarma nie żandarma, bo bez munduru, ale — powiedzmy — towarzysza — pachołka.

Codziennie więc między dwunastą a pierwszą przed bramę ratuszową zajeżdża luksusowe auto socjalistycznego dygnitarza, z kozła zeskakuje towarzysz pachołek otwiera drzwiczki limuzyny i gnąc się w kornym ukłonie, robi ostentację dokoła niepozornej postaci p. prezesa.

I gdzież się podzieli ci, których oburzał wolancik p. Balińskiego i dryndulka p. Ilskiego? Może nie zauważyli jeszcze tych zmian? A szkoda, bo widowisko jest przednie... codziennie między dwunastą a pierwszą przed bramą Ratusza.

Obowiązkiem prawdziwego przyjaciela „Placówki", jest zjednać pismu przynajmniej kilku prenumeratorów.

MÓWI SIĘ TU I ÓWDZIE...

...że sytuacja w rządzie całkowicie już dojrzała i lada godzina oczekiwać należy ruszenia kry.

Opinja ogólno - plotkarska oczekuje, że z tą krą popłynie tłum ludzi; jest to zdanie mylne. Tych którzy są „morituri" zliczyć można na paluszkach jednej ręki.

Niewątpliwie pakuje swe manatki prof. Bartel, którego zresztą pewne dyskretne obowiązki familijne powołują na czas dłuższy do Paryża...

Prócz niego na liście proskrybowanych widnieją: Kwiatkowski i Jurkiewicz. Inni pozostać mają bez zmiany na swych ministerjalnych stolcach.

O p. Miedzińskim nawet się nie mówi bo to całkiem inna... para kaloszy, jak mówią w b. Galicji.

Największa wśród opinji batalja toczy się o osobę przyszłego premjera, gdyż jakoby to nazwisko ma „bojowy" czy „ugodowy" charakter zrekonstruowanego rządu. O łatwowierności ludzka!... Okazało się przecie na p. Bartlu że premjer nie jest znów tak potężną i wpływową postacią.

Dwa obecne bieguny przedstawiają nazwiska gen. Składkowskiego i majora Świtalskiego. Słuszny stąd dowcip, że nie ma mowy, o „rządzie pułkowników", gdy premjerem będzie tylko major...

*

...że w nowych planach rekonstrukcyjnych ciekawsze od pozycji ministerjalnych są niektóre wice - ministerjalne.

Tak np. w MSW podsekretarzem ma zostać „wreszcie" poseł **Polakiewicz** który jest już nieco zmęczony swą bojową działalnością parlamentarną, a przytem — „Miedziński tak długo już siedzi na ministerstwie.."

Wiceministrem przemysłu i handlu zostać ma p. **Stefan Starzyński**, który ostatecznie obraził się na gmach przy ul. Rymarskiej, p. Grodyńskiego i wogóle skarb Rzeczypospolitej. Teraz zajmie się „fachowo" handlem.

Sensacją dnia jednak jest zdecydowanie już mianowanie pani Praussowej wiceministerką pracy i opieki. Ma ona być łącznikiem między ministerstwem i „rzeszami robotniczemi". Ładny łącznik!...

FIGARO

...że nagłe zamknięcie sesji Sejmu uniemożliwiło pewnej grupie oficerów, ideowo bardzo blizko związanej z t. zw. grupą pułkownikowską, nadającą kierunek polityce sejmowej B. B. — urządzenie serdecznej owacji swym szefom za tak dzielne i owocne zorganizowanie „współpracy z rządem" na terenie parlamentarnym w ciągu ostatniej sesji.

Istotnie że grupa ta w liczbie około setki zaczęła się gromadzić owego poniedziałkowego wieczora u zbiegu ulic Pięknej i Górnośląskiej, a przewodził jej pewien major, dość znany od czasu misji jaką pełnił przy transportowaniu i odbiorze zaginionego później gen. Zagórskiego.

Dobrze poinformowani znawcy arkanów polityki „pułkownikowskiej" twierdzą jednak, że zamierzona a niedoszła demonstracja miała na celu nie uczczenie polityków B. B., ale całkiem przeciwne wynurzenie swych uczuć pod adresem pozostałej części posłów Sejmu, o ileby został na owem posiedzeniu uchwalony wniosek Klubu Narodowego, żądający wyjaśnień od rządu w sprawie „wesołych budżetów"...

*

...że zamierzona demonstracja przed Sejmem przez pewne koła wojskowe nie doszła do skutku nie z powodu zmiany sytuacji — a mianowicie spadnięcia z porządku dziennego emocjonującej sprawy ale z powodu kontrakcji jaką na wieść o dokonywującej się „mobilizacji", zarządziła P. P. S. zwołując swoją „milicję" która jakoby po kryzysie „jaworowszczyzny" jest w stanie całkowitej rekonstrukcji i liczy już 300 członków...

Niewątpliwie są to tylko przechwałki partyjne, o czem najlepiej świadczy fakt że organ P. P. S. „Robotnik" — a za nim zresztą cała prasa — milczy o tem incydencie, mającym mimo wszystko swą charakterystyczną wymowę.

HUMOR POLITYCZNY

MAŁA MENAŻERJA

Grono ziemian z Wileńszczyzny przywiozło Pierwszemu Marszałkowi Polski dar na imieniny dość niezwykły młodziutką sarenkę.

Marszałek, znany z dowcipu, dziękuje ale pyta:

— Doskonale panowie — ale po co mi ta sarenka

— A no, Panie Marszałku, takie miłe zwierzątko..

— Pewno, ale ja mam już jednego Daniela.. To mi wystarczy..

DWA STANY

W „Italji" spotyka się dwóch oficerów. Jeden z nich jest wybitnie zdenerwowany i smutny.

— Co to wam, kolego kapitanie?

— A cóż! Posyłają mię na emeryturę..

— No to nic tak strasznego!..

— Ale zawsze — w moim wieku stały stan spoczynku..

— Moi drodzy! Za to ja zostaję w stałym stanie niepokoju..

NA POCIECHĘ!

W pamiętny dzień św. Józefa sprawiono dla narodu nielada imprezę; wypuszczono w świat nową monopolową wódkę — „luksusową".

— Dobra — powiada pewien fachowiec — ale droga.

— Pociesz się — prawi drugi — nie długo pójdzie druga, tańsza. Taka dla tłumu i dla rozgoryczonych..

— Jaka?

— „Bartlówka"!

KŁOPOTY RODZINNE

Przed kilku dniami spotkałem moją dawną, bardzo miłą sąsiadkę panią Eulalję.

— Cóż tam u kochanej pani słychać?

— A no — Bogu dziękować — jakoś się żyje.. z

— Cóż u córki?

— Dziękuje pięknie, dzieci się chowają, zdrowe..

— A synek młodszy?

— Trochę z nim kłopotu..

— Dlaczego?

— A bo to — proszę pana — skończył korpus kadetów i posłali go na emeryturę.

L'ORDRE REGNE A VARSOVIE

W przedzień wzbierającej powodzi komendant miasta pułk Wieniawa - Długoszowski telefonuje do wojewody grodzkiego p. Jaroszewicza:

— Panie Komisarzu — co tam słychać z powodzią?

— Panie Pułkowniku — dopóki my nie jesteśmy **zalani** Warszawa może spać spokojnie..

Kik.

Cena prenumeraty: rocznie zł. 12, kwart. zł, 3.50 mies. zł. 1.20
Ceny ogłoszeń: 1/1 str. 300 zł, 1/2 160 zł, 1/4 90 zł., 1/8 50 zł.; w tekście o 35% drożej.

Adres Redakcji i Administracji: Warszawa, ul. Sienna 33, tel. 106-25 **Konto P K.O. 19.070**

Redaktor i wydawca **Wacław Dziekoński.** Druk. „ARS", Warszawa, Sienna 33, tel. 106-25.